Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.



WOLA i CZYN

CZASOPISMO SPOŁECZNO POLITYCZNE

Wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca

Rok II. Lwów, dnia 20 lipca 1938 r. Nr. 14.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kopernika 42a, tel. 242-86. Konto P. K. O. Nr. 508250

PRZED WYBORAMI SAMORZĄDOWYMI

Samorząd jest nie tylko formą wyżycia się obywatelskiego ludzi, którzy służbę publiczną traktują jako pracę społeczną, ale jest przede wszystkim doskonałą szkołą obywatelską.

Historia powstania i rozwoju samorządu wykazuje, że samorząd został pomyślany niegdyś jako forma uniezależnienia się od państwa w pewnym zakresie, tworząc niejako obwarowany przywilejami bastion walki o wolność obywatela przeciw państwu. Pogląd ten tuła się jeszcze gdzieniegdzie i dziś i przełamanie tego nastawienia jest ważnym zagadnieniem chwili obecnej. Państwo dzisiejsze nie jest domeną gospodarki tej czy innej dynastii, ale jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli. Interesy państwa nie stoją i nie mogą stać w poprzek interesom ogółu obywateli. Państwo dzisiejsze musi tworzyć harmonijnie skonstruowaną całość, a samorząd nie może tworzyć niezależnych wysepek, obcych całemu organizmowi. Samorząd jest instytucją współtworzącą, współpracującą z państwem.

Zagadnienia samorządowe nie mają w Polsce dobrego klimatu. Nie mieliśmy nigdy dobrych wzorów samorządu. Okaleczały samorząd z czasów zaborczych nawet w tej formie szczątkowej, w jakiej się utrzymywał nie mógł być dla nas wzorem a potwierdzał jedynie tezę, że jest formą uniezależnienia się od ogólnej linii państwowej. Im większą niezawisłość od władz państwowych uzyskał samorząd, tym był lepszy. Im więcej funduszów zdołano ulokować w miejscowych inwestycjach, tym lepiej, bo inaczej pieniądze te szły na cele zaborczego państwa, na budowy i inwestycje nic albo bardzo mało związane z interesem ludności polskiej. Samorząd był namiastką życia politycznego. Pogląd ten odziedziczyliśmy razem z odbudową państwowości polskiej.

Pierwsze formy samorządu w niepodległej Polsce nie zdały egzaminu. T. zw. „walka o samorząd" stała się walką o partyjne wpływy, o dysponowanie kasami samorządowymi, walką o posady. Wybory samorządowe, dokonywane w wirze demagogii, wzajemnego szkalowania się były wyrazem nie tyle opinii i woli społecznej — ile obrazem swoistego „biegu na przełaj"... na fotele radzieckie w ratuszu. Niedomagania i błędy naszej pierwszej konstytucji miały swoje echo w samorządzie a prace nad stworzeniem konstytucji obecnej musiały w konsekwencji pociągnąć za sobą reformę ustaw samorządowych.

Obecne ustawy samorządowe kładą kres takim absurdom, jakie miały miejsce w szeregu miast, gdzie rady miejskie były wyrazem nie potrzeb ogółu obywateli, lecz znamieniem siły i liczebności ugrupowań politycznych a posiedzenia rad imitowały posiedzenia sejmu z pierwszych lat niepodległości, z wszystkimi akcesoriami aż do wzajemnych bójek i demonstracyjnych śpiewów włącznie. Zacietrzewienie polityczne dochodziło do takich granic, że w rozgwarze lokalnych rozgrywek między poszczególnymi ugrupowaniami zapominano o koniecznych potrzebach gospodarczych. Sensacją posiedzeń rady było zwycięstwo czy sprytny trick tej lub innej partii, a nie uchwalenie doniosłych zadań. Względnym szczęściem dla miasta było, jeśli jedna partia uzyskała większość mandatów. Można było przynajmniej coś postanowić i coś wykonać, choćby przy akompaniamencie krzyków strony przeciwnej. Ale jeśli żadna partia nie uzyskała większości, to rada miejska była widownią targów i przeróżnych matactw, byle sobie pozyskać jakąś inną grupę za cenę pewnych ustępstw i tworzyć większość. Przerost czynnika politycznego okazał się szkodliwym.

Obecne ustawy samorządowe przesuwają punkt ciężkości z oblicza politycznego kandydata na jego fachowe uzdolnienia. Samorząd bowiem musi odpowiadać gospodarczym i kulturalnym potrzebom ludności a nie może być trampoliną polityczną. Samorząd nie może być odskocznią do robienia kariery w życiu politycznym, ale może może i powinien być dobrą szkołą obywatelską. Przesunięcie granicy biernego prawa wyborczego do lat 27 ma na celu spełnienie powyższego postulatu. Okres trzech lat pracy obywatelskiej i społecznej w samorządzie winien dać odpowiedni zapas doświadczenia, by trzydziestoletni radni mogli z należnym kapitałem moralnym położyć swe nazwiska na liście kandydatów do Sejmu. Aby ten trzyletni okres przygotowawczy w samorządzie spełnił swe zadanie, to praca w radzie miejskiej czy gminnej musi się odbywać w spokojnej atmosferze rzetelnego wysiłku.

Miernikiem wartości ustawy jest zawsze reakcja społeczeństwa. Trzeba stwierdzić, że jeżeli chodzi o ustawy samorządowe, to społeczeństwo a nawet partie polityczne odniosły się do nich na ogół pozytywnie. Stronnictwo Narodowe przygotowuje się już do wyborów, przygotowuje się i Stronnictwo Ludowe, chociaż podnosiło drobne zastrzeżenia co do wieku kandydatów i ograniczenia prawa głosowania. Jedynie socjaliści odnoszą się dotychczas negatywnie, bojąc się utraty dotychczasowych wpływów, przy czym ich postulat o piąty przymiotnik trzeba ocenić jako zwyczajny, doktrynalny gest w stronę mniejszości narodowych.

Stawiane tu i ówdzie zarzuty pod adresem samej ustawy nie wytrzymują poważniejszej krytyki. Mogą mieć słuszność jedynie obawy, czy zarzuty co do samego przeprowadzenia wyborów, ale to już nie jest winą ustawy, tylko błędem wykonania. Te sprawy trzeba ściśle zróżniczkować i rozgraniczać, co jest ustawą a co wykonaniem. A jeśli chodzi o wykonanie, to obecne ustawy samorządowe przewidują daleko większą kontrolę czynnika społecznego niż dotychczas. Członków komisji wyborczej powołują kolegialnie zarządy gmin, — istnieje również instytucja mężów zaufania, którzy będą mieli prawo obecności podczas prac komisji, prawo czynienia zastrzeżeń i uwag, notowanych w protokule.

Życie ustaw społecznych jest różne. Ustawy, które były dobre kilkanaście lat temu okazują się nieodpowiednie dziś. Ustawy jedne żyją przez długie lata, inne podlegają częstym reformom i przeobrażeniom. Nie ma ustaw idealnych i niesłuszny jest zarzut, że ta lub owa ustawa odbiega od doskonałego wzoru. Ustawa jest z punktu widzenia demokratycznego dobra, jeśli odpowiada większości obywateli. Obecne ustawy samorządowe odpowiadają właśnie temu postulatowi, — a w porównaniu z poprzednią formą samorządu są dużym krokiem naprzód.

—o—

Jednolitość mogłaby być osiągnięta, gdyby grupy polityczne..... rozporządzały większą sumą znajomości wzajemnej. Pomiędzy ludźmi politycznymi Polski istnieje nieprzebyta ściana złożona z podejrzeń, obaw wszelakich i uprzedzeń, a nawet starych porachunków. Polacy pomiędzy sobą są, niestety, wrogami nieubłaganymi. Jest to dziwna struna psychiczna, która stała się naszą właściwością, naszą cechą organiczną. Gdyby ta właśnie struna osłabła, postulat jednolitości stałby się natychmiast możliwym.

JÓZEF PIŁSUDSKI — (Wywiad w Tyg. Ill. rok 1917)

Błędy polityki kościelnej

(wlś) Delegacja kilku organizacyj społecznych zwróciła się do jednego z księży w powiecie jaworowskim z zamiarem przedstawienia mu programu pracy nad organizowaniem elementu polskiego, aby częściowo bodaj przeciwstawić się podobnej, ale o wiele intensywniej prowadzonej akcji w środowiskach ukraińskich. Na plebanii przyjął tę delegację ksiądz, staruszek, wysłuchał wszystkiego spokojnie, ale gdy wspomniano mu, że plebania mogłaby przy tym stać się centralnym ośrodkiem polskiej pracy społecznej, oświadczył, że zamiary te uważa za niefortunnie pomyślane.

— Powinniście panowie wiedzieć — powiedział w końcu — że jest mi najzupełniej obojętne, w jakim języku modlą się ludzie w mojej parafii. Najważniejsze jest to, aby modlili się do Boga...

W jakiś czas później, rozmawiając o sprawach kościelnych z jednym z profesorów uniwersytetu lwowskiego, wspomnieliśmy o tej delegacji i zacytowaliśmy odpowiedź księdza.

— Co pan myśli, panie profesorze — zapytaliśmy — o stanowisku takiego księdza, który siedzi gdzieś w parafii, wokół której dosłownie szaleje nacjonalizm ukraiński, gdzie doskonale znana jest rozwijająca się aktywizacja ukraińskiego ruchu gospodarczego i kulturalnego, gdzie wreszcie Polacy, otoczeni uświadomionym politycznie elementem ukraińskim, ulegają rusyfikacji...

— Ujmując tę sprawę z punktu teologicznego — odpowiedział profesor — stanowisko księdza było zupełnie słuszne: ksiądz, który swoją misję kapłańską będzie chciał spełniać zgodnie z duchem teologii, nie potrzebuje zajmować innego stanowiska. Zdarzenie, o którym pan wspomniał, jest dla naszego terenu typowe: wyłącznie od społecznego i politycznego wyrobienia kleru zależy tutaj często kształtowanie się sił elementu polskiego. Jest jednak faktem ogólnie znanym, że — w przeciwieństwie do kleru grecko - katolickiego — kler rzymsko - katolicki istotnie w przeważającej części zajmuje wobec polsko - ruskiego problemu narodowościowego stanowisko bierne. Inaczej, rozumie się, jest na plebaniach grecko - katolickich...

Rozmowa potoczyła się żywo i niezwykle interesująco. Problem kościelno - cerkiewny w Małopolsce Wschodniej należy bowiem do najmniej znanych. Mało też kto zdaje sobie sprawę ,jak olbrzymie znaczenie odgrywa on w naszym życiu politycznym. Poza wrzawą normalnych codziennych walk politycznych, poza sztucznie wytwarzanym często huczkiem polemik prasowych, zdala od większych miast, wśród zagród wiejskich toczy się walka serio: zdecydowana, bezwzględna, zorganizowana na najlepszych zasadach podjazdowej walki... wyznaniowej.

Spróbujemy dokonać tu przeglądu sił dwu armij, które pozornie nie biorą udziału w życiu politycznym, które sprawować mają rząd dusz... Trzeciej, ormiańskiej, nie będziemy brać pod uwagę ,należy ona bowiem do zabytków historycznych: jeden arcybiskup, jedenastu księży i 1.200 wiernych, zupełnie spolonizowanych, nie odgrywają żadnej roli w układzie sił klerykalnych. Walka, tocząca się między klerem greckim i rzymskim, interesować nas tu będzie przede wszystkim.

Zaczniemy od woj. lwowskiego:

po jednej stronie frontu mamy tutaj 422 parafie rzymsko - katolickie, 422 kościoły, 522 kaplic i 611 księży, w czym 121 katechetów i 27 emerytów;

po drugiej stronie frontu mamy 849 parafij grecko - katolickich, 870 cerkwi, 564 cerkwi parafialnych i kaplic oraz armię 820 księży.

Różnice, jak wynika z tego, są ogromne na korzyść kleru grecko-katolickiego. Jeżeli wziąć przy tym pod uwagę, że na terenie woj. lwowskiego znajduje się (wg 1932) 1.332.522 ludności rzym.-katolickiej i 1.383.858 ludności grecko - katolickiej, zrozumiemy dopiero możliwości rusyfikatorskie o 25% liczniejszego kleru grecko - katolickiego przy równych siłach ludnościowych po jednej i drugiej stronie.

Na terenie woj. stanisławowskiego układ sił kościelno - cerkiewnych przedstawia się dla nas jeszcze bardziej niekorzystnie: znajduje się tutaj zaledwie 87 parafij rzymsko-katolickich, 87 kościołów, 168 kaplic i 127 księży, w czym 38 katechetów i 13 emerytów; po drugiej stronie mamy 629 parafij grecko - katolickich, 644 cerkwi, 186 cerkwi filialnych i kaplic oraz 540 księży.

Podobny układ sił wytworzył się w woj. tarnopolskim, gdzie mamy 198 parafij rzymsko-katolickich, 221 kościołów, 312 kaplic, 280 księży, w czym 59 katechetów i 7 emerytów; a po stronie przeciwnej: 643 parafij grecko-katolickich, 646 cerkwi, 280 cerkwi filialnych i kaplic oraz 642 księży.

Jak widzimy, dysproporcje są olbrzymie. Różnice te występują jeszcze bardziej rażąco w porównawczych cyfrach, ilustrujących sytuację w całej Małopolsce Wschodniej. Ogółem bowiem mamy tutaj 707 parafij rzymsko-katolickich, 730 kościołów, 1.032 kaplic i 1.018 księży, w czym 218 katechetów i 48 emerytów. Natomiast po drugiej stronie frontu siły są o wiele większe: jest tam 2.121 parafij grecko-katolickich, 2.160 cerkwi, 1.030 cerkwi filialnych i kaplic oraz 2.022 księży.

Historia kształtowania się sił kościelno-cerkiewnych jest zbyt obszerna, aby można ją omawiać w ramach artykułu. Wystarczy zresztą powiedzieć, że w poprzednich wiekach polityka kleru rzymsko-katolickiego prowadzona była w sposób znacznie aktywniejszy. Dowodem tego, że już w XIV w. utworzono tutaj 36 parafij, których ilość w ciągu pięciuset lat wzrosła dziesięciokrotnie — do 315 w XVIII w.

W Małopolsce Wschodniej jest dwie diecezje rzymsko - katolickie: lwowska, przemyska i część tarnowskiej oraz cztery diecezje grecko-katolickie: lwowska, przemyska, stanisławowska i łemkowska w Sanoku. Ten fakt świadczy też na korzyść organizacji kleru grecko-katolickiego. Ale nie tylko to: jak wiadomo, typem parafii rzymsko-katolickiej jest zawsze prawie wielka parafia. Oczywiście, ze względów materialnych jest to korzystne, ale tylko dla proboszcza. Przykładem może być największa w Europie parafia delatyńska, która ma 140 km długości!

Inaczej jest z organizacją cerkiewną: parafia grecko-katolicka jest zawsze mała, obejmuje jedną lub dwie gminy o powierzchni przeciętnej dla trzech województw 29 km kw.

Osobno należałoby omówić sprawę 1.032 kaplic rzymsko-katolickich i 1.030 cerkwi filialnych i kaplic grecko-katolickich. Różnice w dziedzinie sprawności obsługi cerkiewnej i kościelnej występują tutaj niezwykle jaskrawo: kaplice rzymsko-katolickie znajdują się wszędzie w odległości kilku, a czasem kilkunastu i kilkudziesięciu kilometrów; ksiądz z parafii przyjeżdża do takiej kaplicy w niedziele i święta raz, a czasem dwa razy w miesiącu. Cerkiew parafialna zawsze natomiast znajduje się blisko parafii, w sąsiedniej wsi, gdzie gorliwszy paroch codziennie dojeżdża furmanką, aby odprawić nabożeństwo.

Na ogólną ilość 4.175 gmin Małopolski Wschodniej zaledwie w 707 gminach znajdują się kościoły, co stanowi 16.9 proc. gmin, ale że większa ilość kościołów jest w miastach, procent gmin objętych bezpośrednią działalnością kościelną jest w rzeczywistości znacznie mniejszy.

W organizacji grecko-katolickiej, rozporządzającej łączną ilością 3.151 cerkwi parafialnych i filialnych, sytuacja jest taka, że obejmują one bezpośrednią działalnością 75.5 proc. ogółu gmin.

Znaczenie tej sprawności organizacyjnej uwypukla fakt, że przeciętna ludności dla parafii rzymsko-katolickiej wynosi 2.870 osób, a dla parafii grecko-katolickiej — 1.640. Proboszcz rzymsko-katolicki pracuje na terenie kwadratu, którego bok przeciętnie wynosi 8—10 km, a w niektórych parafiach 25 km, a proboszcz grecko-katolicki na terenie kwadratu, którego bok wynosi najwyżej 5—6 km.

W poprzednim artykule o grzechach lwowskiej kurii biskupiej omówiliśmy obszerniej kradzież dusz, dokonywana od dłuższego czasu przez kurię grecko-katolicką. Sprawa ta przedstawia się znacznie poważniej, niż to wynikało z poprzedniego artykułu: ogólną ilość tych skradzionych dusz oblicza się co najmniej na sześćset tysięcy! A więc nie jest to niewinna zabawa statystyczna, ale robota bardzo poważna, zakrojona na szeroką skalę.

Zagadkowo przedstawiają się schematyzmy kurii rzymsko-katolickiej, nie wykazujące w wielu miejscowościach na przestrzeni kilku i kilkunastu lat żadnego przyrostu naturalnego... Jakby nie było tam zupełnie t. zw. ruchu ludnościowego. Wersje, kursujące z tego powodu, są bardzo różne, zawsze jednak mają one taki charakter, że można je zakwalifikować, jako jeden z głównych — niewiadomo zresztą ilu — grzechów kleru rzymsko-katolickiego. Sprawa ta powinna być wyjaśniona wkrótce, bo trudno się zgodzić, aby na ogólną ilość 14.217 księży w Polsce, każdy prowadził indywidualną politykę statystyczną.

Często słyszy się u nas narzekania na księży, na brak zrozumienia przez nich elementarnych zadań politycznych i przeciwstawia się im jako przykład księży grecko-katolickich z ich bojowym stanowiskiem w ruchu ukraińskim. Różnice te są zrozumiałe: księża grecko-katoliccy to przeważnie dawni oficerowie ukraińscy, ludzie jeszcze dość młodzi, zdający sobie sprawę z wartości i celowości aktywnego stosunku do życia. Proboszcz rzymsko-katolicki, to przeważnie staruszek, który na swoją parafię patrzy z punktu... teologicznego.

Jeden z wysokich dostojników kościelnych, zdaje się, ks. Kakowski — zapytany przez innego dostojnika, cywilnego, czemu przypisać niski poziom uświadomienia społecznego i politycznego wśród polskiego kleru, miał odpowiedzieć: jaki nam społeczeństwo daje materiał, taki mu zwracamy towar.

Odpowiedź ta ma głęboką wymowę. Mało jest znany fakt, że 58 proc. młodzieży studiującej w Polsce teologię — to element wiejski. Synowie chłopscy najchętniej kierują się na księży, i to wyłącznie prawie synowie tych, którzy wegetują na karłowatych gospodarstwach. Ci jeszcze widocznie najwięcej doceniają autorytet kleru, a poza tym niewątpliwie największy urok ma dla nich perspektywa uzyskania probostwa.

Mimo to jednak, na teologii nie ma przepełnienia. Na uniwersytecie lwowskim nie ma nawet dwustu akademików, a i z tego co najmniej trzecia część odpadnie, studia teologiczne kończy bowiem nieliczny procent. W tym roku wyświęcono zaledwie 35 księży.

Powody tego są różne: jednych odstraszają ogólne trudności studiów; innych przeraża fakt, że etat proboszcza wynosi dziś 115 zł, z czego na rękę dostaje 90, przy czym nie ma gwarancji, że otrzyma bogatą parafię; jeszcze innych — tych jest najwięcej — odstrasza celibat.

Jest to jednak bardzo prawdopodobne, że przewaga zubożałego elementu wiejskiego wśród rzymsko-katolickiego kleru ma znaczenie dla kształtowania się niekorzystnej sytuacji w polityce kościelnej. Widocznie „synowie wsi”, wyrwani ze swoich rodzinnych zagród i przefiltrowani przez seminaria duchowne, zatracają pod wpływem teologii prymitywny zmysł państwowości i znaczenia najistotniejszych zadań społecznych, powracając na wieś, jako kapłani bezradności i nieświadomości politycznej.

—o—

Prawdziwym przyjacielem pisma jest ten,

kto ma zjednywa

nowych prenumeratorów

Godzina rozmowy z Polakami z za Olzy

(Wywiad wysłannika „Woli i Czynu" z wycieczką legionistów z Czechosłowacji)

Siedzimy przy wspólnym stole — my, u siebie w własnym, niepodległym państwie i oni — Polacy - legioniści z za Olzy. Ramię przy ramieniu siedzą obok siebie dawni koledzy pułkowi — jak niegdyś w rowach strzeleckich. Płyną wspomnienia, opowiadania...

— Miło nam jest — powiadają bracia z za Olzy — tak usiąść z Wami w wolnej Polsce, zapomnieć choćby na chwilę o krwawiącej granicy, która odcięła nas od Was i skazała na walkę z wynarodowieniem. To nam dodaje sił do dalszej walki.

— *Czy rzeczywiście jest tam tak źle, jak podawała prasa?* — zadaję pytanie mojemu sąsiadowi.

— Prasa pisała za mało. Dla prasy nawet szereg faktów jest nieuchwytnych, bo z pozoru wszystko jest formalne. Akcja Czechów, zdążająca do wynarodowienia ludności polskiej jest prowadzona niesłychanie chytrze i nieuchwytnie. Ot choćby na przykład redukcje na kopalniach. Ogłasza się listę zredukowanych, listę, na której sprawiedliwie figurują Czesi i Polacy. Wszystko jest formalnie. Nie można postawić żadnego zarzutu, bo procent zredukowanych Polaków odpowiada procentowi zredukowanych Czechów. Ale tylko formalnie; cóż bowiem można poradzić na to, że cały szereg polskich robotników jest wpisany na listę redukcyjną jako Czesi, — cóż zrobić, gdy za tydzień po redukcji wszyscy zwolnieni robotnicy czescy zostaną po cichu przyjęci do pracy.

Ale nie tylko to — ciągnie mój rozmówca — boli nas, górników z zagłębia. Pan wie, że marzeniem górnika jest mieć na stare lata swój domek z ogródkiem. Pieniędzy na dom nie uzbiera się w ciągu roku ani w ciągu kilku lat. Trzeba przez kilkanaście lat oszczędzać. Pracujemy więc, oszczędzamy, ba, nawet instytucje kredytowe czeskie przychodzą nam z pomocą, udzielają kredytu, byle tylko rozpocząć budowę. W prasie czeskiej pisze się wtedy wiele o pomaganiu Polakom, o tym, że Czechosłowacja jest państwem, które tak bardzo troszczy się o swoje mniejszości narodowe, a nie pisze się o tym, że ledwo górnik rozpoczął budowę domku i zadłużył się w czeskiej instytucji kredytowej, — to stawia się mu alternatywę: albo zapisze dziecko do szkoły czeskiej i zostanie renegatem, korzystającym z wszelkich przywilejów, albo zostanie zredukowany na kopalni i znajdzie się w długach i w nędzy.

— *Czyżby tak daleko posuwał się terror szkolny w państwie, które reklamuje się jako wzór demokracji?*

— To tylko jedna z metod terroru szkolnego, prowadzonego przez czeską instytucję oświatową p. n. „Matice Osvety Lídove". Matice Osvety Lídove jest instytucją opiniodawczą dla władz i urzędów. Ona powoduje, że ziemię z rozparcelowanych majątków oddaje się renegatom lub kolonistom sprowadzonym z głębi Czech. Jej zasługą jest to, że w roku 1918 mieliśmy 24.000 dzieci w polskich szkołach a w r. 1913 tylko 9.000!

— *Ale jakżeż Czesi mogą budować swoje szkoły w miejscowościach, gdzie mieszkają w 90% Polacy?*

— W tym tkwi właśnie klucz do zrozumienia perfidnej gry Czechów. Wszystko jest przewidziane ustawą, nic na pozór nie dzieje się bezprawnie. Ustawa powiada, że tam, gdzie jest ponad 40% dzieci pewnej narodowości, to państwo powinno utrzymywać szkołę z ich ojczystym językiem wykładowym, — a tam, gdzie jest poniżej 40%, to państwo może również utrzymywać szkołę, chociaż nie musi. To „może" jest właśnie pretekstem do zakładania szkoły czeskiej tam, gdzie jest choćby 5 Czechów.

— *A jaka jest reakcja Polaków na te represje? Czy nie macie żadnej możliwości obrony?*

— Obronę prowadzą nasze organizacje polityczne. Jest ich trzy: Związek Śląskich Katolików, Stronnictwo Ludowe i Polska Socjalistyczna Partia Robotnicza. Komunistów i partii renegatów p. Koždonia nie ma co liczyć, bo są słabi i nieliczni. Organizacje polityczne polskie są zrzeszone w „Komitecie międzypartyjnym", który właśnie prowadzi akcję obronną i który dąży do tego, by wszystkich Polaków w Czechosłowacji połączyć w jedną partię. W sprawach szkolnych Komitet współpracuje z polską „Macierzą Szkolną". Świadectwem skuteczności tej współpracy niechaj będzie fakt, że jak w r. 1936 straciliśmy 1400 dzieci polskich, — to już w r. 1937/8 tylko 800 dzieci wzięto nam do czeskich szkół. Bilans za jeden rok pracy dość pokaźny.

Macierz Szkolna nie tylko broni dzieci polskich przed wynarodowieniem. Organizuje także i utrzymuje z własnych, składkowych funduszów prywatne szkoły polskie tam, gdzie Czesi zlikwidowali polskie szkoły publiczne.

— *W jakim stopniu wpłynął Anschluss na sytuację wewnętrzną w Czechosłowacji?*

— Trzeba przyznać, że po Anschlsie Czesi stracili mocno na tupecie. Akcja wynaradawiająca osłabła. Dzieci polskie spontanicznie wracają do szkół polskich. Dotychczas mimo gróźb ze strony Czechów, — około 400 dzieci wróciło do szkół polskich. Polskie organizacje rosną i przybierają na sile. Organizacje młodzieżowe polskie utworzyły „Zrzeszenie organizacyj młodzieży polskiej" i wykazują b. dużą aktywność. Trzeba podkreślić, że prócz renegatów Koždonia i komunistów wszyscy Polacy a nawet Polska Socjalistyczna Partia Robotnicza pracują zgodnie i solidarnie walczą w obronie zagrożonego bytu narodowego ludności polskiej.

— *Ostatnie wybory wykazały jednak dużą siłę ludności polskiej i przyniosły Wam zwycięstwo. Czyżby tym razem Czesi nie wywierali żadnej presji i dopuścili wreszcie do uczciwych wyborów?*

— Terroru w takich rozmiarach, jak przedtem, nie było; była natomiast ogromna agitacja ze strony Czechów, przy poparciu wszystkich czynników administracyjnych i gospodarczych. Agitatorzy czescy obiecywali złote góry Polakom, byle tylko głosowali na listy czeskie. Nie poprzestano zresztą na obietnicach. Na wybory rzuciła Praga tysiące koron, aby uratować sytuację i wykazać zwycięstwo Czechów. Za te pieniądze kupowano głosy, wypłacając wyborcom wprost gotówkę, lub wystawiając asygnaty do czeskich spółdzielni.

Na poparcie swoich słów dokumentem, wyciąga mój rozmówca fotografię czeskiej asygnaty wyborczej. Czytam:

> **Poukázka**
>
> K odběru potravia v ceně 30 Kč, slovy třicet... korun čsl, u prodejny Centralního hospod. skladiště v Jablunkově.
>
> jednatel (podpis nieczyt.) předseda (podpis nieczyt.)
>
> (pieczęć okrągła z napisem:) Odbor Matice Osvěty Lídowe v Dolni Lomne u Jablunkova

Czytam i wierzyć mi się nie chce. Przywykłem do tego, że w państwach, nie tylko faszystowskich, administracja bierze taki czy inny udział w wyborach, ale żeby instytucje czysto oświatowe zaprzęgać do takiej brudnej „roboty" wyborczej, to może się zdarzyć chyba tylko w Rosji, lub w... „demokratycznej" Czechosłowacji.

— *Czy obecnie, w obliczu konfliktu sudeckiego zaszły jakie zmiany na lepsze?*

— Owszem. Dotychczas np. mieliśmy tylko jedno gimnazjum prywatne w Orłowej i Czesi przyrzekli upaństwowić je. Przyrzekli również upaństwowić kilka polskich szkół powszechnych. Przyrzekli umieścić napisy polskie na kolejach, pocztach i w urzędach tam, gdzie jest ponad 20% Polaków. Przyjęto kilku urzędników do urzędów publicznych, oczywiście ilość nieprawdopodobnie małą, bo biorąc rzecz proporcjonalnie, powinni przyjąć ok. 500 urzędników Polaków.

— *Czy w te obietnice można wierzyć?*

Oczywiście, że nie bardzo. Mieliśmy już niejedno smutne doświadczenie pod tym względem. Ot choćby i teraz, kiedy niby pozostawiło się dzieciom polskim swobodę wyboru szkoły, to rodziców, którzy przenieśli dzieci do polskich szkół, zaraz na drugi dzień przesłuchiwali żandarmi. Mimo przyrzeczonej wolności nadal szermuje się terminem „spolszczeni morawianie" na określenie ludności polskiej, ba, termin ten nawet wprowadzono oficjalnie do podręczników szkolnych. Prof. Adamus z Morawskiej Ostrawy, który miał odwagę naukowo stwierdzić, że nazwa „spolszczony morawianin" jest nonsensem, — został przeniesiony za karę do Turnowa, w głębi Czech.

Realizacji słusznych postulatów naszych nie opieramy na złudnych przyrzeczeniach czeskich. Opieramy je na własnej sile, na słuszności naszych żądań.

— *Jakie są postulaty ludności polskiej, złożone min. Hodży?*

Tego jeszcze w tej chwili powiedzieć nie mogę, póki postulaty nie zostaną oficjalnie ogłoszone. Ogólnie streścić je można następująco:

1. restytucja polskiego stanu posiadania z r. 1918;
2. wyrównanie strat, jakie ludność polska poniosła od r. 1918.

— *Czy żądania te będą spełnione?*

— To od nas bezpośrednio nie zależy. My możemy powiedzieć, że nie zgodzimy się nigdy, by otrzymać mniej, niż otrzymają Niemcy sudeccy, czy inne narodowości, — kończy mój rozmówca.

—o—

LONGIN HERMAN

MODLITWA

Rozśpiewały się drzewa poranną modlitwą... Zaszumiały zboża i pełne złota kłosy kornie chyliły przed Stwórcą... Kwiaty polne ustroiły płatki korony kroplami rosy, co do wschodzącego słońca mieniły się jak najprawdziwsze perły.

Stary Jan, co latami dorównywał najstarszym drzewom, stał cicho z zamkniętymi oczyma, tylko usta szeptały słowa modlitwy a ręka, co tyle zasiała, zbożnie biła w pierś i chyliła starą głowę przed Panem. Wiatr rozwiewał siwy włos i zanosił słowa prostego człowieka przed tron Najwyższego.

W taką chwilę wszyscy są równi i każdy jest sobą.

Nawet stary Jan, co może ma i nazwisko, ale ono mu niepotrzebne. Każdy zna tylko... starego Jana.

Czy zawsze był — starym?

Nie opowiadano mu nigdy zaczarowanych bajek ,nie kupowano błyszczących cacek, co budują z mydlanych baniek świat dziecka.

Nie miał książek z kolorowymi obrazkami.

Miał matkę i 7 lat.

Potem służył we dworze. W długiej guńce i czapce włochatej, co spadała na oczy, pasał. Skulony stał pod drzewem ,a bose nogi z zimna były czerwone, jak poranne słonko. Na niebie była wiosna, potem jesień, a jego niebo zaciągnęły ciężkie chmury. Nikt nie widział uśmiechu w jego oczach, jak nikt nie widział łzy. Jeden skowronek podpatrzył raz Jana, powiedział innym i potem wszyscy wiedzieli, że Jan rozmawiał ze sobą. Ziemi chciał. Niwę jedną, jak jedną miał koszulę i jednego Boga. Palcami by orał, potem krwawym podlewał, aby swoje. Teraz, gdy skowronek wieścił podsłuchane, grudami ziemi rzucał w niego i krzyczał... tak, chcę ziemi tyle, wiele ty masz. Ty wijesz gniazdo i mówisz, że to twoje, a ja nie jestem bardziej szary od ciebie...

A potem bił się w piersi i prosił... Chleba powszedniego daj nam dziś i odpuść nasze winy, Panie Boże... stary Jan skończył modlitwę i pochylony szedł do dworu...

Orał cudze pole, a życie orało mu czoło...

Historia imion w Polsce

Ciekawą i emocjonującą dziedziną badań jest sprawa imion. W Polsce, podobnie zresztą jak w innych krajach, nadawanie imion zależało w różnych okresach od najrozmaitszych czynników i podlegało rozmaitym wahaniom. W czasach słowiańskich imiona były życzeniami, względnie zaklęciami magicznymi, mającymi zapewnić danej osobie sławę w boju, czy inne cechy. Do tej kategorii należą takie imiona starosłowiańskie, jak Stani-sław, Dobro-gost i inne.

Z przyjęciem chrześcijaństwa nastał inny system. Nadawano imiona świętych, którzy mieli być patronami dzieci. Przez długie jednak czasy noszono imiona podwójne, słowiańskie i chrzestne. Mieszko I-szy np. otrzymał imię chrzestne Dagon. Władysław Herman przeszedł do historii z imieniem swoim słowiańskim i chrzestnym, a biskup krakowski Gaudenty posługiwał się też swoim imieniem słowiańskim Radzym. Po przyjęciu chrześcijaństwa nadawano też często imiona starotestamentowe Samuela, Eliasza, Abrahama, Dawida, Salomona, a nawet Mojżesza czy Racheli, które jednak dzisiaj bardzo rzadko tylko występują wśród katolików i stały się imionami wyłącznie żydowskimi.

Z biegiem czasu zdobyły prawo popularności imiona specyficznie „katolickie". Franciszkanie spopularyzowali imię Franciszka i Antoniego, Jezuici przyczynili się do popularności Ignacego, a imieniem katolickim jest również Józef i Maria. Imiona te występują dopiero ze wzrostem kultu Marii, propagowanego przez wiele zakonów, z początku bowiem uważano za rzecz niestosowną nadawanie tych dwu imion, ze względu na wysoką cześć dla nich. Z tego samego powodu nikt w Polsce nie używa imienia Jezus, znanego np. w Hiszpanii.

Po upadku niepodległości, przyszła kolej na imiona tzw. słowiańskie. Nawiązywano do pierwotnych dziejów polskich, próbując też wskrzesić tradycje litewskie. Pojawia się wtedy Mieczysław, Bolesław, Witold, Olgierd, Wanda i inne. Moda romantyczna przyniosła imiona Malwiny, Julii, Oskara (bohatera pieśni Ossjana), Wiesława, Balladyny, Aldony itd. Jest rzecza ciekawą, że pewne imiona spotykają się szczególnie często na pewnych terytoriach. Tadeusz z początku znany był tylko na Litwie, a Wojciech popularny w Poznańskim. U Kaszubów spotykamy na każdym kroku Janów i Józefów, względnie Anny i Marianny, w Małopolsce częste są Kaśki, Hanki i Baśki, a drobna szlachta mazowiecka, aby wyróżnić się od otaczającej ją ludności chłopskiej, sięga do imion tak egzotycznych, jak Eligiusz, Faustyn, Leokadia itd.

Odrębna kwestia jest zagadnienie mody, która wyciska też swoje piętno na imionach. Podczas gdy w XV wieku najczęstszym imieniem był Mikołaj, a Jan zajmował dopiero drugie miejsce, to w XVI wieku porządek ten odwraca się. W wieku XVII Mikołaj schodzi na dalszy plan, a po Janie, drugim co do częstości imieniem, jest Stanisław. W „Spisie oficerów, służących czynnie w dniu 1. VI. 1921" na pierwszy plan wysuwa się już Stanisław. Wśród 10.000 imion, zbadanych przez wybitnego uczonego prof. Jana St. Bystronia, który wyniki swoich badań ujął w specjalnej monografii pt. „Księga imion w Polsce używanych" (nakład Roju) było 763 Stanisławów, 657 Janów, 622 Józefów, 461 Władysławów, 352 Tadeuszów, 298 Marianów, 288 Antonich, 258 Stefanów, 212 Zygmuntów, 200 Henryków, 195 Karolów, 140 Adamów itd. Ciekawe jest, jakie imiona powtarzają się w tym spisie tylko jeden raz. Są to m. in. imiona Gedeon, Gottfryd, Godzisław, Iwo, Jeremi, Justyn, Kalikst, Kapistran, Klaudiusz, Krystian, Lech, Lotariusz, Łazarz, Miłosz, Olimpiusz, Oswald, Polikarp, René, Rupert, Sebastian, Sobiesław, Teobald itp. Po dwa razy powtarzają się w spisie oficerów: Gerard, Heliodor, Lambert, Mariusz, Medard, Nepomucen, Otmar, Pius, Sławomir i in.

W ciągu wieków ginie tradycja imion rodowych, słabnie cześć dla patronów świętych — paronów dziecka. Coraz więcej widać dowolności i mody w nadawaniu imion. Częste występowanie Zygmuntów, Władysławów, Janów i Kazimierzów w XVII wieku łączyć należy z popularnością imion królów, czy sławnych ludzi. Kościuszko spopularyzował imię Tadeusza, ks. Józef Poniatowski zwiększył i tak już znaczną ilość Józefów, kult Napoleona zrobił też swoje wśród inteligencji, a Mickiewicz np. na bierzmowaniu otrzymał imię Napoleona, którym się nieraz zresztą podpisywał. Niekiedy imię traci popularność, bo nosi je niedobry człowiek. Krasiński „zabił" Pankracego, Mikołaje i Aleksandry giną w ten sposób w zaborze rosyjskim, a Fryderyki i Wilhelmy w poznańskim, na odwrót w Galicji lojalność ludności sprzyjała rozwojowi Fryderyków i Leopoldów. Imiona podwójne Franciszka Józefa, czy arcyksięcia Karola Ludwika rozkładano często między rodzeństwo. Sienkiewicz wskrzesił i spopularyzował Zbigniewa (Zbyszka), ożywił Hanię, Barbarę, Aleksandrę (Oleńkę), Żeromski znów przypomniał zapomnianych prawie zupełnie Rafała, Marka i Huberta, a nawet Mniszkówna zdołała stworzyć kilku żywych Waldemarów, na wzór ordynata Michorowskiego.

Jest rzeczą znamienną, że dzieciom nieprawym nadaje się w pewnych okolicach specjalne imiona, które na całe życie piętnują danego człowieka, jak Najdek, Pokrzywnik, Kassjan, Tytus, Matrona (imię cygańskie), Spirydion, German itd. Raz ksiądz nadał dziecku wiejskiemu, zrodzonemu ze ślubnego związku imię Zofia, a ponieważ imię to nie było w tej okolicy używane, wywołało ono rozpacz rodziców. Uspokojono ich dopiero, gdy im oświadczono, że pańskie dzieci na świecie otrzymują także takie imię. Obecnie powszechna jest wśród inteligencji kilkuimienność. Pochodzi to stąd, że łączy się imię tradycyjne z wybranym dowolnie dla tych czy innych względów.

Od imion powstało wiele nazwisk. Np. od Hieronima — Jaroszewicz i Jaroszyński, od Ignacego — Ihnatowicz, od Jana — Iwaszkiewicz i Wańkowicz, od Jerzego — Jurkiewicz, od Kaspra — Kasprzycki i Kasprowicz, od Konstantego — Kościuszko, od Krystiana — Krzyżanowski, od Mikołaja — Nitsch, Miklaszewski i Kułakowski, od Teodora — Chodźko i Chodkiewicz, od Sebastiana — Sobieski, od Seweryna — prawdopodobnie Weryński, od Stanisława — Stańczyk i Staszyc.

Prof. Bystroń, autor szeregu zasadniczych prac z dziedziny etnografii, kultury i literatury zebrał na przestrzeni blisko 400 stron wszystkie imiona, jakie są lub były używane w Polsce, podając przy każdym z nich historię tego imienia, kilka słów o patronie, a także pochodne nazwisk które z tych imion się zrodziły. Książki tej streszczać niepodobna. Każdy, kogo kwestia imion interesuje, a niewątpliwie zagadnienie to jest ciekawe dla wszystkich, z przyjemnością przewertuje tę książkę, stanowiąca jedyna tego rodzaju encyklopedię kultury społecznej.

K. T.

M. S. W.

KULTURKAMPF

Walka, jaką prowadzi kanclerz Hitler przeciw kościołowi katolickiemu w Niemczech, sięga swymi początkami drugiej połowy XIX wieku.

Zainicjowana przez żelaznego kanclerza Bismarcka, stała się dla sfer nacjonalistycznych wyrazem zjednoczenia narodowego i uniezależnienia Niemiec od wszelkich międzynarodowych idei, choćby na ich czele stał sam biskup rzymski.

Podczas wojny światowej i bezpośrednio po niej ruch akatolicki osłabł znacznie, wzmógł się natomiast z dojściem do władzy nazich i z odbudową narodowych Niemiec.

Hitler, będąc bożyszczem najpotężniejszej, bo jedynej legalnej w Niemczech partii narodowo-socjalistycznej, wierzącej ślepo i bezkrytycznie, oraz uznającej wszystko co Führer powie za święte, żąda też od kościoła katolickiego „poszanowania swego autorytetu", czyli tłumacząc na język zrozumiały, domaga się bezwzględnego poddania jego dyrektywom. Co prawda, zapewnia często, że nie życzy sobie konfliktu z kościołem, a nawet wręcz przeciwnie, chciałby w obopólnym interesie współpracować celem walki przeciw marksizmowi, bolszewizmowi i bezbożnictwu, to jednak faktycznie paraliżuje wszelką działalność kościoła, hamując jego wpływ na wiernych, oraz stosując nieraz represje wobec opornych i niechętnie uznających w nim człowieka nieomylnego, nadprzyrodzonego.

Do akcji antykatolickiej niemało przyczynia się też ruch neopogański, propagowany przez Alfreda Rosenberga i jego najbliższych, oparty na głębokiej wierze w dziejowe posłannictwo Niemiec jako narodu wybranego o bardzo dawnej i bogatej rodzimej kulturze. Oprócz jednak osobistej niechęci kanclerza do kleru katolickiego i szalonej propagandy neopogaństwa, wielką rolę odgrywa chęć odseparowania kościoła od wszystkiego co jest związane z polityką, a właściwie, co może być wyrazem krytyki rządu narodowo-socjalistycznego.

Ponieważ katolicy niemieccy uważają się jednocześnie za członków wielkiego powszechnego kościoła, którego głową jest papież, a wszelkie próby rozluźniania tej spójni, względnie utworzenia niezależnego od Rzymu niemieckiego kościoła narodowego, poczytują za zamach na uczucia religijne, więc spontanicznie reagują na każde antykatolickie rozporządzenie rządowe. A to już, według Hitlera, wkracza w dziedzinę polityki.

„Szczęśliwy jestem, że wszystkim duchownym wzbronione będzie odtąd uprawianie politycznej działalności partyjnej" — mówił kiedyś kanclerz po zawarciu konkordatu w Rzymie, był bowiem pewny, że odtąd ustanie opozycja kościelna przeciw jego rządom. Przyszłość jednak była zawodną, pod tym względem, dla Hitlera.

Dziś, stojąc na wrogim stanowisku wobec kościoła uważa, że ze strony „polityzujących wyznań religijnych" grozi narodowemu-socjalizmowi wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ przez twardy opór wobec jego nakazów, utrudniają partii walkę przeciw ukrytym siłom, które pod destruktywnymi wpływami komunistów szerzą ferment w budujących się wielkich, narodowych, zjednoczonych Niemczech.

Tak więc reakcja kościoła przeciw powstającemu na nowo pogaństwu i staremu bezprawiu niemieckiemu, została wciągnięta wraz z komunizmem pod działalność antypaństwową.

—o—

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO

Przysposobienie rolnicze na tle potrzeb naszego rolnictwa

Zawód rolnika, jako jeden z najbardziej trudnych, skomplikowanych, wbrew dość jeszcze rozpowszechnionemu zapatrywaniu, wymaga odpowiedniego przygotowania, nauki i praktyki.

Przyjrzyjmy się, jak to wyszkolenie odbywa się wśród młodych rolników, w najliczniejszym, podstawowym zawodzie w Polsce, a szczególnie wśród małorolnych.

Na ok. 4 miliony gospodarstw poniżej 50 ha, istniejących w Polsce, co roku ok. 120 tys. gospodarstw przechodzi w ręce młodych ludzi, którzy dziedziczą po rodzicach, i samodzielnie zaczynają pracować, a że zwykle gospodarstwo obejmuje młode małżeństwo, więc podwójna ilość czyli 240 tys. młodych gospodarzy i gospodyń razem co roku rozpoczyna samodzielnie prowadzić gospodarstwa rolne. Z jakimże oni przychodzą przygotowaniem? Zaledwo ok. 7.000 z nich ma ukończone niższe szkoły rolnicze męskie lub żeńskie, czyli 3%, a 97% ma za sobą tylko praktykę w gospodarstwie własnych rodziców, umieją w najlepszym razie tyle, co umieli ich rodzice, a nawet mniej, bo brak im doświadczenia życiowego, jakie zdobyli ich rodzice przez 30—40 lat. A zatem 97% tych młodych początkujących rolników staje do startu z tymiż mniej więcej szansami, co niegdyś stawali ich rodzice. Jakże więc możemy spodziewać się szybkiego podniesienia naszej produkcji rolnej, podniesienia opłacalności, kultury naszej wsi?!

Wszak decydującym momentem o wyniku tego czy innego warsztatu pracy jest kierownik tego warsztatu — człowiek, jego uzdolnienie, wykształcenie, doświadczenie, pracowitość i zaradność.

Gospodarstwo rolne — jako skomplikowany warsztat pracy — wymaga od kierownika - gospodarza wiele zalet, umiejętności i wiedzy. Dziś prowadzić warsztat rolny, to nie tylko orać, bronować, siać i kosić.

Dziś rolnik musi znać i podstawy praw przyrody, i znajomość techniki, i kalkulacji i rachunkowości, i zasady handlowe, i podstawy prawne, i wiele innych nauk pokrewnych.

Czasopisma fachowe, książki, radio, dorywczo organizowane kursy, pogadanki, porady instruktorów rolnych docierają do nieznacznej części rolników i mogą wystarczyć dla uzupełnienia potrzebnych wiadomości, ale nie mogą zastąpić podstawowego, gruntownego przygotowania do zawodu.

Przebudowa ustroju rolnego, melioracje, wszelakie techniczne ulepszenia nie odniosą pożądanego skutku, o ile do nich nie dorośnie człowiek.

Dowodzi tego rzut oka na inne kraje, gdzie widzimy ścisły związek rozwoju oświaty z podniesieniem ilościowo i jakościowo produkcji rolnej. Stanem powyższym, brakami w przygotowaniu odpowiednim samych ludzi należy też tłumaczyć małe, w stosunku do nakładu pracy i kapitału, wyniki prac, prowadzonych dotychczas u nas przez różne czynniki nad podniesieniem rolnictwa. Należy pamiętać, że najlepiej skonstruowana i zorganizowana fabryka nie ruszy z miejsca bez fachowej obsługi.

Na szczęście coraz więcej ludzi w Polsce tę prawdę rozumie. Zaczyna się zwrot od techniki do człowieka.

Jednym z najwybitniejszych umysłów tego nowego kierunku był śp. profesor Józef Mikułowski-Pomorski, który między wielu innymi swoimi dziełami zainicjował w Polsce, opartą na amerykańskich wzorach, nową metodę przygotowania rolnika młodego do jego przyszłego zawodu — rolnictwa.

Metoda ta już znacznie dziś rozpowszechniona i uznana — to „Przysposobienie Rolnicze". Doszedłszy do wniosku, że należyte przygotowanie rolników przez szkoły rolnicze w Polsce długie jeszcze lata będzie niedostateczne, z powodu braku dostatecznej ilości szkół i środków materialnych, prof. Mikułowski-Pomorski wskazał sposób nauczania rolnictwa pozaszkolny, polegający na samokształceniu zorganizowanym, zespołowym, oparty o konkretne zagadnienia rolnicze, łączący naukę teoretyczną z praktyką. Zapoczątkowana akcja w r. 1926 w formie konkursów rolniczych w zespołach młodzieży wiejskiej szybko zaczęła rozwijać się ilościowo, jednocześnie wypracowując swoiste metody i formy, krystalizując się w latach 1933-34 w planową, zorganizowaną metodę.

Podając w skrócie akcja ta przedstawia się następująco:

Wśród młodzieży wiejskiej, zrzeszonej we wszystkich organizacjach młodzieżowych, działających na wsi, (rzadziej wśród młodzieży niezrzeszonej) tworzy się dobrowolnie zespół młodzieży liczący 9—20 osób, stawiający sobie za zadanie wspólnymi siłami zdobywać wiedzę i doświadczenie rolnicze. Praca tego zespołu trwa 3—5 lat, i przechodzi on kolejno przez tzw. trzy stopnie sprawności rolniczej. Każdy stopień ma ściśle określony program i zadanie, po przerobieniu którego zespół przechodzi na wyższy stopień.

Na program każdego stopnia składa się zapoznanie się teoretyczne (z dostarczonych pomocy oświatowych) z jednym zasadniczym działem gospodarstwa wiejskiego, z jednoczesnym praktycznym przerobieniem zadania na odpowiedni temat w formie konkursu, np. uprawa rośliny, wychów zwierzęcia, oraz wprowadzenie pewnego ulepszenia w gospodarstwie rodziców, np. założenie kupy kompostowej, urządzenia gnojowni itp.

Kończąc wreszcie III st. spr. uczniowie P. R. zapoznają się z organizacją całości małego gospodarstwa, ze spółdzielczością, pracą organizacyj rolniczych, samorządem. W ten sposób zapoznają się z całokształtem zagadnień rolniczych i życia gromady, a jednocześnie zaprawiają się do samodzielnej pracy, do pokonywania trudności nie tylko własnym wysiłkiem, lecz wysiłkiem zorganizowanym, zespołowym.

Młodzież w Przysposobieniu Rolniczym pracuje samodzielnie, lecz nie jest pozbawiona pomocy. Dziś już jest stworzony cały aparat kierowniczy i wykonawczy.

Podstawową komórką pracy jest zespół, z wybranym przodownikiem na czele.

Zespołami całego powiatu opiekuje się Powiatowy Komitet do Spraw Młodzieży Wiejskiej, który utrzymuje instruktora P. R. dla bezpośredniego kontaktu z zespołami. Na poziomie województwa sprawami P. R. zajmuje się Izba Rolnicza, przez Komitet względnie Komisję do Spraw Młodzieży Wiejskiej oraz inspektora P. R.

Centralnie nad tą akcją czuwa Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych przez inspektorat P. R., i w oparciu o Komisję Młodzieżową Komitetu do Spraw Kultury Wsi.

Ponadto istnieje w Warszawie specjalna Spółdzielnia Wydawnicza „Pomoc Oświatowa", która wydaje odpowiednie książki, broszury, czasopismo „P. R.", wszelakie druki itp. pomoce oświatowe dla zespołów P. R.

Jeżeli chodzi o rozwój akcji P. R. w Polsce, to przedstawia się on następująco:

W roku 1926 przystąpiło do pracy 35 zespołów, 202 uczniów; wytrwało do końca roku 7 zespołów, 41 uczniów.

W roku 1930 przyst. 7071 zesp., 53.708 uczn.; wytrw. 5.225 zesp., 34.891 uczn.

W roku 1934 przyst. 8.047 zesp., 65.984 uczn.; wytrw. 5.892 zesp., 41.893 uczn.

W roku 1937 przyst. 9.149 zesp., 70.935 uczn.; wytrw. 7.139 zesp., 47.756 uczn.

W roku 1938 przyst. 11.278 zesp., 89.189 uczniów.

Stały rozwój ilościowy akcji dobrowolnej już wskazuje na jej wartości, gdyż na razie o jej wynikach, o wpływie na podniesienie rolnictwa mówić jeszcze przedwcześnie; lwia część młodzieży, która przeszła przez P. R. jeszcze nie objęła warsztatów rolnych, lub gospodaruje od bardzo niedawna. Tam, gdzie młodzi rolnicy „przyszli do głosu", dodatni wpływ ich pracy zaznacza się już wyraźnie.

Jeżeliby chodziło o teren Małopolski Wschodniej, to akcja Przysposobienia Rolniczego, prowadzona dawniej przez Małopolskie T-wo Rolnicze, a od roku 1933/34 przez Lwowską Izbę Rolniczą została zapoczątkowana w r. 1927 i rozwija się pomyślnie. Dochodząc w r. b. do ilości 2.474 zespołów i 22.946 uczniów (woj. lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie razem), przy czym woj. lwowskie, posiadające obecnie 1.218 zespołów i 11.127 uczniów, pod względem ilościowym stoi na pierwszym miejscu wśród województw całej Polski.

J. HORCZAK

PODZIĘKOWANIE

Do

ZARZĄDU ZWIĄZKU LEGIONISTÓW POLSKICH WE LWOWIE

Szanowni i Drodzy Koledzy!

Przechodząc w myśli te podniosłe chwile pośród Was spędzone nie możemy wyjść z podziwu. Musimy podziwiać Waszą serdeczną i szczerą gościnność. Od samego początku, przez cały pobyt w Waszym pięknym lwim grodzie — krótko na każdym kroku — mieliśmy dowody Waszej uprzejmości.

Trudno znaleść określenia, któremi chcielibyśmy wyrazić naszą wdzięczność.

Ograniczymy się dlatego do skromnego, ale z wdzięcznego serca płynącego: Bóg zapłać za tak gościnne przyjęcie, Bóg Wam zapłać za trudy zabytkami i pamiątkami Waszego poczynione celem zapoznania nas z grodu, krótko — Bóg Wam zapłać za Wasze złote serca.

Pobyt wśród Was pozostawił u nas niezatarte wrażenia.

Słowa wypowiedziane do Was pamiętamy i pamiętać będziemy. Będą one dla nas otuchą i bodźcem do dalszej pracy na naszym terenie, celem podtrzymania naszych szczytnych szarzyźnie życiowej.

Nie jest nam możliwem każdemu z osobna przesyłać podziękowanie — nie znamy bowiem wszystkich osób i organizacji, które brały udział w naszym przyjęciu. wracamy się przeto do Was Koledzy z bardzo uprzejmą prośbą: Bądźcie wyrazicielami naszej wdzięczności, przedewszystkiem przedstawicielom starostwa, miasta, wojskowości a dalej wszystkim, wszystkim tym, którzy przyczynili się do uprzyjemnienia nam pobytu wśród Was.

Z wyrazami poważania oraz z serwym: Cześć!

Za Leg. po tej stronie Olzy, kreślą się

Trestka Ferdynand m. p., Gałuszka Adolf m. p., Śliwka Jan m. p., Jan decznym pozdrowieniem legiono-Tarnik m. p., Greń Paweł m. p.

SPRAWY KULTURY

Na tropie pieśni I Brygady

Było już o tę pieśń dużo sporów. Zbyt dużo może — jak na jedną pieśń żołnierską, wcale nie za dużo — jeśli zważy się znaczenie tej pieśni w okresie powojennym. Nie każdej pieśni bowiem dane jest stać się symbolem i hasłem historii, a to właśnie przypadło w udziale dumnym słowom: „My Pierwsza Brygada...". Wystarczy przypomnieć, że uważano tę pieśń za wytwór zbiorowej twórczości żołnierskiej i dopiero na zjeździe legionistów w Lublinie w roku 1924 przyznał się wobec Piłsudskiego Tadeusz Biernacki do jej autorstwa. Wystarczy również przypomnieć, jaką burzę protestów i gniewu legionistów wywołało odkrycie literata Nowaczyńskiego, twierdzącego, jakoby melodia pieśni I. Brygady wzięta była z niemieckiej operetki „Blauen Husaren". Sprawę poddano nawet wówczas jakimś komisyjnym badaniom — bez wyniku zresztą. (Trudno zresztą zrozumieć gniew legionistów. Bo ostatecznie czy melodia była pochodzenia rosyjskiego, jak powszechnie mniemano, czy niemieckiego, jak twierdził Nowaczyński, — to już jeden zaborczy diabeł. Nie przekreśla to przecież w żadnym wypadku jej znaczenia legionowego i w ogóle: historycznego).

Ostatecznie autor pieśni Tadeusz Biernacki w osobnej książce („My I. Brygada" — Warszawa 1929) określił — zdawało się najdokładniej i najbardziej autorytatywnie — powstanie słów i pochodzenie melodii swego sławnego utworu. Ustalenie to odnośnie melodii okazało się conaj mniej — nieścisłe. Oba artykuły K. Ziarskiego (Wola i Czyn, 1938, nr 7 i nr 9) wykazały, że słynna „Dziesiątka" — ów kielecki marsz orkiestry 1. pułku piechoty nie jest wcale równoznaczny ze znaną dziś melodia „My Pierwsza Brygada", śpiewany był za to do słów Słońskiego: „Legiony to są Termopile". Ostatecznie i Biernacki mówi o konflikcie — przy wyborze melodii — z tekstem muzycznym pieśni Słońskiego. Ale też wyraźnie pisze Biernacki, że ostała się nuta owej kieleckiej „Dziesiątki". Bądźże tu z tego mądry, badaczu piosenkarstwa legionowego, skoro dzisiaj znana melodia Pieśni I. Brygady nie jest — jak się rzekło — równoznaczna z melodią owej „Dziesiątki".

Stąd wniosek nowy: musiały istnieć w Legionach dwie melodie. Nazwijmy je dla rozróżnienia melodią Słońskiego (— to kielecka „Dziesiątka") i melodią Biernackiego (— śpiewana do dziś). Z drukowanych bowiem wspomnień, którą z tych melodyj kto i kiedy słyszał, niczego konkretnego nie dowiemy się. Na rozpisany w 7 numerze apel do członków b. orkiestry 1. pp. I. Brygady nikt nie odpowiedział. Piszącemu te słowa udało się wszakże przeprowadzić wywiad w sprawie melodii Biernackiego (dziś śpiewanej). Wywiad ten dał pewne wyniki.

P. nacz. Halski opowiada, że gdy w r. 1920 stał z oddziałem wojskowym w Chojnicach na Pomorzu, miał okazję poznać tam przybyłą z Wileńszczyzny pannę Marysię Kasprzycką. Mówiła ona, że miała brata w Legionach. Śpiewała na nutę dzisiaj znaną (melodia Biernackiego) takie słowa:

„Choć Wilna zabrać nam nie dali,
a byłoby na sercu lżej,
z pewnością sprałbym Moskali
i byłoby tam Żydów mniej".

Jest to niewątpliwy lament piechurów przeciw innemu oddziałowi (— szwoleżerom? —), który ich ubiegł w zdobyciu Wilna.

P. inż. Nehr wspomina znów, że przejeżdżał przez Wilno w dniu otwarcia przez Piłsudskiego uniwersytetu Batorego. Przybycia Naczelnika oczekiwał oddział kawalerii. Kawalerzyści stali w spoczynku trzymając konie za cugle. Śpiewali chórem jakąś pieśń na nutę, która dziś jest znana, jako Pieśń I. Brygady. Ten sam inż. Nehr podaje, że miał w swej kompanii rycerskiej legionistę z I. Brygady, Obłąka. Obłąk grał na harmonii wszystkie pieśni legionowe, nigdy wszakże nie słyszano od niego melodii Biernackiego (dzisiejszej).

P. Mrygłodowicz wspomina znów swój postój z oddziałem legionistów w Piotrkowie w fabryce giętych mebli. Była to zima 1916 roku. Słyszał wtedy melodię Biernackiego (dzisiejszą) śpiewaną zwykle po przedstawieniach teatru żołnierskiego.

Bardzo ciekawe jest wspomnienie dyr. Al. Wareńskiego, żołnierza I. Brygady. Opowiada on, że melodię Biernackiego (dzisiejszą) słyszał po raz pierwszy śpiewaną w r. 1914, w listopadzie, pod Laskami. Słów, które objęte były tą melodią, nie pamięta. Graną zaś melodię tę słyszał w roku 1915, gdzieś pod Kraśnikiem czy Lublinem. Ponadto melodia ta — a mowa tu wciąż o tej śpiewanej dzisiaj — łączy się z pewnym specjalnym wspomnieniem dyr. Wareńskiego. Był to rok 1915. W Sandomierzu przebywała konspirowana kadra I. Brygady — fortelem „ukradziona" z Kęt. (Czynni byli w tej sprawie: Karaszewicz-Tokarzewski, Pilecki, Wareński, Bałłaban). Był tam przy tej kadrze trębacz nazwiskiem Putowski. Otóż ten trębacz odprowadzał stale oddziały legionistów, którzy przeszkoleni w „tajnej" kadrze odchodzili na front. Trębacz Putowski towarzyszył tym oddziałom aż za Sandomierz grając na trąbce stale i niezmiennie jedną melodię. Była to melodia ta, na którą dziś śpiewamy pieśń I. Brygady.

„Pamiętam szczególnie silnie jeden taki chłodny poranek" — opowiada Wareński. — „Odchodzili nasi kadrowcy. Szli w kierunku na Zawichost. Niosła się nad nimi długo-długo ta nuta, ta, z którą dziś nierozerwalnie łączymy słowa: „Legiony to żołnierska nuta...".

Wacław Lipiński w swym żołnierskim pamiętniku („Szlakiem I. Brygady") pod datą 24 lipca 1917 — a jest to ostatnia notatka pamiętnika — pisze o legionistach, którzy poszli za druty obozów koncentracyjnych „z pieśnią Brygady na ustach". Miał on chyba na myśli — jakby świadczyły pewne słowa autora — albo pieśń „Hej, strzelcy wraz" (popularnego „Strzelca") albo inną pieśń „Naprzód drużyno strzelecka". Wykluczone do tego, by Lipioński siedząc w Krakowie, znał już pieśń „My I. Pierwsza Brygada", która zrodziła się w szczupłym gronie towarzyszów broni — w kilka dni przedtem. Słowa jego dowodzą tego tylko, że jeszcze jakąś inną pieśń nazywano „pieśnią Brygady".

W artykule Emila Jerzego Czerniawskiego: „Miałem szczęście Go widzieć" (Żołnierz Legionów — miesięcznik, 1928, maj) znajduje się urywek takiego wspomnienia: „Maszerowałem przed nim w defiladzie pod Włodawą, gdziem po raz pierwszy usłyszał dźwięki naszego marszu My Pierwsza Brygada...". Idzie najprawdopodobniej o tę melodię dzisiejszą.

Okazuje się, że w Legionach Piłsudskiego istniały obok siebie dwie ulubione melodie. Słynna kielecka „Dziesiątka", o której pisały artykuły p. K. Ziarskiego jest po prostu melodia rosyjskiego, popularnego marszu: „Dni naszoj żyzni". Istnieje w formie notatek drukowanych kilka wersyj tekstowych, a i melodia także nie była jednolicie śpiewana. Pod tym względem informacja p. Ziarskiego z 9 numeru Woli i Czynu winna być uzupełniona redakcjami równoległymi.

Ciekawe teraz jest ze wszech miar, jakie więc jest pochodzenie dzisiejszej melodii pieśni I. Brygady. Skąd się wzięła i kiedy naprawdę połączono ją z tekstem poetyckim Tadeusza Biernackiego. Mają tu dużo do powiedzenia sam Tadeusz Biernacki, mjr Sikorski, podówczas kapelmistrz orkiestry 1. p. p. I. Brygady, wspomniany trębacz Putowski, — wszyscy wreszcie, którzy z tą pieśnią się zetknęli w czasie swej służby legionowej. Idzie tu wciąż o sporządzenie literackiej metryki ulubionej pieśni Józefa Piłsudskiego.

B. W. LEWICKI

DYSKUSJA TEATRALNA

Głupie sztuki — drogie bilety

(*ś*) Zainicjowaną przez dra B. W. Lewickiego dyskusję teatralną rozwinąć można w skali ogólnopolskiej. Sytuacja w teatrach lwowskich nie jest wyjątkowa. Lwów nie jest jedynym miastem, gdzie usiłowania najlepszych organizatorów i zespołów aktorskich idą na marne. Teatr wszędzie walczy z trudnościami i wszędzie walce tej towarzyszą pesymistyczne głosy prasy, nad którymi zawsze prawie dominują wspomnienia dawnych, podobno lepszych czasów i ludzi, których nazwiska istotnie przeszły do historii najświetniejszego rozkwitu polskiej sceny.

Słusznie jednak zwrócił dr Lewicki uwagę na obłudny ton tych wspomnień, przytaczając w jednym ze swoich poprzednich artykułów kilka nazwisk twórców niewątpliwie wspaniałej lwowskiej przeszłości teatralnej, których borykanie się z trudnościami i metody beznadziejnej walki o zdobywanie podobnie jak i dziś obojętnej publiczności w żaden sposób nie harmonizują z patetycznym tonem uroczystych wspomnień.

Rzeczywistość była inna: wystarczy pobieżnie bodaj poznać tę rzeczywistość, aby zrozumieć fałszywy ton bezradnego współczucia z ludźmi, walczącymi nieraz naprawdę dzielnie na starych placówkach kultury, aby zrozumieć ton obłudnego gloryfikowania tych, którzy przeszli do historii zawsze prawie dzięki zdumiewająco wytrwałej pracy, zakończonej mniejszym lub większym sukcesem.

Nie trzeba być zawodowym teatrologiem, ani teatromanem, aby orientować się w sytuacji teatralnej, budzącej od dawna zrozumiały niepokój, nielicznych zresztą, których możnaby już zaliczyć do przysłowiowych „ostatnich Mohikanów" kultury teatralnej, naprawdę uczciwie interesujących się losem teatru.

Współczesny teatr nie jest ani mniej twórczy, ani mniej eksperymentalny, niż teatry dawne, wszystko jedno w jakich okresach i w jakich epokach. Faktem jest jednak, że teatr ten nie posiada już tej olbrzymiej siły oddziaływania artystycznego, że nie jest już placówką tak atrakcyjną, jak dawniej, gdy obok książki był w życiu kulturalnym instytucją bezkonkurencyjną.

Dziś zdystansowało go kino, radio i zawody sportowe. Pozornie może się zdawać, że zawody sportowe odegrały rolę najmniejszą, ale są to w swoim rodzaju także widowiska teatralne, gdzie pointą nie bywają wprawdzie błyskotliwe paradoksy, lub dramatyczne konflikty, ale gole strzelane w bramkę i nosy spłaszczone rękawicą bokserską, co — oceniając miarą frekwencji i entuzjastycznych oklasków — musi być co najmniej o sto razy bardziej pasjonujące, niż sceny najlepszych mistrzów teatru.

Dziwnie melancholijnie brzmi tytuł artykułu dyskusyjnego dra Lewickiego: „Teatr — dla kogo?" Jest w tym pytaniu głęboka rezygnacja. Jakby można było odpowiedzieć: — „Teatr dla nikogo".

Rozumie się, tradycyjnym zwyczajem należałoby odpowiedzieć: „teatr dla wszystkich, dla najszerszych mas, dla ludu". Ale w tym byłoby za dużo... teatralności. Sprawa nie jest ani tak łatwa, ani tak błaha, aby można ją zbyć frazesem. Już dawno zawiedli wszyscy: i masy i lud... Elita też zawiodła. Teatrom pozostała tylko publiczność gratisowa, odnosząca się, jak wiadomo, najbardziej sceptycznie do teatru... Może dlatego właśnie, że gratisowa.

Na ulicy podsłuchałem niedawno rozmowę teatralną:

— Niech pan powie, mecenasie, dlaczego teraz nikt nie chodzi do teatru?

— To bardzo zrozumiałe — odpowiedział starszy pan, nazwany mecenasem: — dlatego, że teatr wystawia

głupie sztuki i każe sobie drogo płacić za bilety.

Gdyby to jedno było powodem tragedii dzisiejszego teatru! Ale wiadomo, że nawet „najmądrzejsze" starogreckie sztuki zawodzą i na przedstawienia popularne też nikt się nie śpieszy. Chociaż bywa też inaczej: cała sala jest pełna i galerie wysprzedane do ostatniego miejsca. Publiczność jest dziwnie kapryśna, trudno ją zrozumieć i jeszcze trudniej jej dogodzić.

Prawda, że dyrekcja teatru lwowskiego popełniła niejeden błąd repertuarowy: kryminalna „Staroświecka idylla", przerażająco rażąca na scenie teatru — bądź co bądź — Wielkiego, albo „Domek z kart" — klasyczna sztuka dla kucharek z jaśnieoświeconym księciem, zakochanym w „kopciuszku" kabaretowym, lub trudne do strawienia odświeżane „Precle majowe" i kilka innych, rzeczywiście niedbale, lub niefortunnie wybranych sztuk mogło odstraszyć nawet rzetelnego teatromana, który zbuntował się i przeszedł do konkurencji, stając się zdeklarowanym... kinomanem; ale trudno też wytłumaczyć olbrzymie powodzenie tak na wskróś idiotycznej sztuki, jak „Żołnierz królowej Madagaskaru". gdzie nawet Maszyński nie był podobny do... Maszyńskiego.

Jakże więc odpowiedzieć krótko i konkretnie, dla kogo ma być teatr? Napewno nie da się tego problemu rozwiązać w żaden sposób biurokratyczny. Publiczności teatralnej nie można zdobywać sztucznie i to jest niepotrzebne: do teatru zawsze przyjdzie ten, kto potrafi odczuć piękno słowa, kto potrafi zrozumieć magiczną siłę skrótu życia, zamkniętego w kilku aktach komedii lub dramatu, kto posiada dar odczuwania sztuki. Tych jest o wiele więcej, niż nam się zdaje i dla nich powinno się dawać najlepszy repertuar i najtańsze bilety. Publiczności, zapełniającej lunaparki i boiska sportowe nie zdobędzie się dla teatru. Ale i tę publiczność trzeba powoli urabiać, a przede wszystkim trzeba budzić świadomość artystyczną wśród młodzieży. Gdyby akcja ta była prowadzona wcześniej, dziś nie wypadałoby pisać tak desperacko o teatrze, jakby nastąpił już ostatni akt dramatu imć Melpomeny.

U bohaterów rokitniańskich

Poświęcenie budynku szkolnego w Szwoleżerowie

Dnia 13 czerwca br. upłynęło 23 lata od chwili, gdy 2 szw. uł. Leg. Pol. pod dowództwem śp. Rtm. Dunin-Wąsowicza stoczył walkę pod wsią Rokitną na Besarabii, szarżując na poczwórne okopy rosyjskie, które zdobył i przełamał, otwierając dalszy pochód w głąb Besarabii 2 Brygadzie legionowej.

Dzień ten był dla 2 szw. uł. tragiczny, gdyż w szarży zginęli wszyscy oficerowie oraz wielu ułanów. Wytworzyły się w każdym plutonie takie luki, iż potrzeba było dłuższego czasu na doprowadzenie ich do stanu bojowego. — Bohaterską tę bitwę porównano wówczas do szarży z czasów epoki Napoleońskiej i uznano ją za drugą „Samosierrę", to też w szeregach ułańskich przyświecała ona przykładem w wojnie późniejszej, gdy w roku 1919 i 1920 nawała bolszewicka zalała Rzeczpospolitę Polską. Bohaterskie czyny i przykładne wychowanie naszej braci ułańskiej wydało owoc, bo gdy dnia 12 czerwca br. jako delegat koła uł. Leg. Pol. udałem się do osady kolegów ułanów w Szwoleżerowie i Rokitniance, stwierdziłem, iż panuje tam ten sam ład i porządek, jaki panował w 2 szwadronie uł. Leg. Pol., ten sam serdeczny nastrój, ten sam serdeczny stosunek starszego z młodszym, tesame twarze, tylko mocno poważniejsze, widać wiek swoje zrobił. — Za to w Szwoleżerowie wiele młodych ułanów, każdy taki młody, bo zaledwie 12—13 lat życia liczący, doskonale ujeżdża rumaka, włada szablą i strzela z dubeltówki, a nawet z karabinu wojskowego.

Gdy tak zastanawiam się, to dochodzę do przekonania, że Rokitnianka i Szwoleżerowo w szybkim tempie wchłonie w swe granice wszystkie okoliczne wsie ruskie, które obecnie wzorują się na gospodarce naszych ułanów, nabierają polskich zwyczajów, uczą się polskiej mowy itp. — Nie ma dzisiaj siły agitacyjnej, by tę okoliczną ludność mogła pobudzić do jakiejś wrogiej działalności przeciw Polsce. Wszystko to należy zawdzięczyć wychowawcom ułanom polskim. Pomni swej tradycji ułańskiej, koledzy nasi szerzą polską kulturę na Wołyniu i to szerzą ją czynem.

W Szwoleżerowie dnia 12 czerwca br. poświęcono obszerny budynek szkolny, składający się z kilku sal wykładowych, oraz kamień węgielny pod budowę świątyni rzym.-kat. Aktu tego dokonał biskup sufragan diecezji łuckiej Ks. dr Walczykiewicz, który po nabożeństwie wygłosił wzniosłe kazanie, sięgając czasów Polski przedrozbiorowej, następnie wspomniał o czynach Leg. Pol., walczących na Wołyniu w latach 1916 i 1917 pod dowództwem Wielkiego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. Obecny był p. Wojewoda Hauke-Nowak, Komendant Koła uł. Leg. Pol., Płk. dypl. w st. sp. Bolesław Jerzy Świdziński, który imieniem Koła wręczył Kolegom osadnikom sztandar 2 szwadr. uł., pod którym szwadron walczył pod Rokitną, jako symbol dalszej tradycji ułańskiej, mający nadal przyświecać ofiarnej pracy osadnikom oraz ich synom, uczęszczającym do nowo wybudowanej szkoły.

Delegat szwoleżerów Rokitniańskich ppłk. Łękowski Tadeusz wręczył kierownikowi szkoły wiele podarunków, ofiarowanych przez Dowództwo Pułku, jak aparat radiowy i inne oraz wiele podarunków dla uczniów.

Na uroczystość przybyli jako delegaci Koła uł. z Warszawy Ppłk. Mniszek Adam, major Mätschke, ze Lwowa Rtm. Szafran Michał i sekretarz Koła Skawiński Władysław. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele spółdzielczości, a to: Dyr. Zw. Sp. Mlecz. w Warszawie p. Dziama Tomasz, Dyr. Okr. Zw. Sp. Rol. z Łucka p. Chrząstowski Krzysztof, Dyr. Centralnej Kasy z Łucka p. Wadowski Feliks, Prezes Woj. Izby Rol. p. Suchorzewski Leon, Prezes Zw. Osad. w Warszawie p. Abram, delegat Kuratorium Okr. Szkol. wołyńskiego p. Kasieniak oraz liczni przedstawiciele organizacyj społecznych i rolniczych.

Wzniosłe przemówienie wygłosił wójt gm. Klewańskiej, osadnik, kolega szwoleżer Solecki, który też powitał wojewodę łuckiego oraz przybyłych gości. Wspomnienia o szarży ułańskiej pod Rokitną wygłosił kolega szwoleżer Karol Szałaśny. Dzięki inicjatywie obu wymienionych osadników, przy dużym nakładzie pracy z ich strony została wybudowana szkoła, za co też otrzymali oni uznanie tak ze strony społeczeństwa miejscowego jak też władz państw. i przedstawicieli wojska.

Słowem, praca kulturalno-oświatowa i zawodowa wre w Szwoleżerowie w całej pełni. Utrzymuje się też prastary zwyczaj zabaw niedzielnych, na których bywa wiele humoru, śpiewu, serdeczności i gościnności.

Po ukończeniu uroczystości, Koło Pań na czele z Panią Solecką przygotowało dla gości posiłek, w którym wzięli udział wszyscy delegaci oraz Ks. Biskup sufragan Walczykiewicz w asyście Księży.

Uczestnik.

NA ŚWIATŁO DZIENNE

Endecka wdzięczność

Nikt nie ma złudzeń co do metod politycznych endecji. Powszechnie wiadomo już, jakie są metody działania endecji, jaki system werbowania adherentów i w ogóle to wszystko, co składa się na termin „endecja", obowiązujący dalej mimo ustawicznego przemalowywania szyldu partyjnego.

Przez długie lata mężem sztandarowym endecji, sztandarowym w sensie szermowania jego nazwiskiem i żerowania na tym nazwisku był — brygadier Czesław Mączyński.

O tym powszechnie wiadomo. Dnia 15 lipca jako w trzecią rocznicę śmierci śp. brygadiera Mączyńskiego, dowódcy Obrony Lwowa, anonimowy Komitet Uczczenia Pamięci Brygadiera urządził w katedrze o godz. 9-tej rano nabożeństwo żałobne za duszę Zmarłego. W kościele zjawili się obrońcy Lwowa ze sztandarem, ochotnicy Armii Polskiej ze sztandarem, jeszcze był jeden sztandar organizacji, ale nie było w kościele ani jednego sztandaru korporacji akademickiej, nie było w ogóle żadnej młodzieży akademickiej, głoszącej wszem wobec na każdym kroku frazesy narodowe i chlubiącej się imieniem śp. Mączyńskiego, nie było też działaczy partyjnych endecji, którzy z nazwiska śp. Mączyńskiego przez długie lata chcieli kuć dla siebie kapitał polityczny. Tych wszystkich w kościele na nabożeństwie żałobnym nie było.

Mączyński jest im dziś niepotrzebny, to też szybko zapomnieli o nim. Pisać o nim można, owszem, ale manifestować obecnością w kościele na nabożeństwie żałobnym, na to endecy zdobyć się nie mogą. Wdzięczność ich tak daleko nie sięga.

Na marginesie zaznaczyć należy, że istnieje podobno jakiś komitet, który ma zbierać pieniądze na pomnik dla Mączyńskiego. Wiadomo nawet, że miasto wydzieliło na ten cel plac przed kościołem św. Marii Magdaleny. Ale nie tylko nic o tym pomniku niewiadomo, lecz nawet nagrobka, prócz krzyża, nie ma na mogile śp. Zmarłego. Ci sami endecy, którzy kiedyś bałwochwalczą czcią otaczali Hallera, by przeciwstawić go innym, ci sami, którzy Mączyńskiego za życia uwielbiali jak długo chciał firmować nazwiskiem swoim ich poczynania, dziś zupełnie się zmienili. O zmarłych endecy nie myślą, bo zmarli nie przynoszą żadnego profitu spekulantom frazesu „narodowego".

—o—

OD ADMINISTRACJI.

Prenumeratorów naszych prosimy o wyraźne i czytelne podawanie nazwiska i adresu, ułatwia to bowiem w dużym stopniu wysyłkę pisma.

W razie nieotrzymania pisma w terminie, prosimy reklamować w odnośnym Urzędzie Pocztowym, ponieważ Administracja wysyła pismo punktualnie i do wszystkich Prenumeratorów.

O. Z. N. W JAROSŁAWIU

W czerwcu br. w lokalu własnym odbyło się I. Walne Zebranie członków Grupy Robotniczej O. Z. N. Jarosław. W zebraniu tym wzięli udział przedstawiciele Rady Obwodowej O. Z. N. Jarosław w osobach Prezesa Waydowicza Tadeusza i Eichlera Rudolfa, oraz zaproszeni prezesi komb. organizacyj.

Licznie obesłane Walne Zebranie zagaił p. Gwóźdź Józef i przekazał przewodnictwo p. insp. Eichlerowi zgodnie z powziętą uchwałą zebranych. Po przemówieniach gości, przewodniczący przypomniał obecnym zgon śp. Marszałka Sejmu Cara i zarządził chwilę milczenia celem oddania hołdu prochom twórcy jednolitego, polskiego prawa konstytucyjnego.

Szczegółowe sprawozdanie za okres organizacyjny złożył organizator i opiekun Grupy p. Obalt Tadeusz. Przewodniczący Komisji rew. p. Pałczyński odczytał protokół rewizji gospodarki pieniężnej i administracyjnej, stwierdzając, że organizatorzy prowadzili rachunki i administrację wzorowo, czym zasłużyli na absolutorium i podziękowanie.

Nad sprawozdaniem wyłoniła się krótka, lecz rzeczowa dyskusja, w której charakterystycznym objawem był referat robotnika Mrugały, ujmujący rzeczowo i wnikliwie stan życia robotników w Polsce i zagranicą. Mówca wykazał, że życie społeczne robotników toczy się bez ich udziału z ich własnej winy, gdyż zbyt pochopnie rezygnowali ze współpracy z czynnikami regulującymi państwo. Następnie przez aklamację uchwalono organizatorom absolutorium, oraz podziękowanie Zw. Leg. Pol. Oddział Jarosław, w szczególności pp.: Waydowiczowi, Obaltowi i Strzałce, oraz dotychczasowemu przewodniczącemu p. Gwoździowi, za pracę organizacyjną przy stworzeniu Grupy Robotniczej O. Z. N. W dalszym ciągu obrad wybrano pierwszy Zarząd w składzie: Prezes insp. Eichler Rudolf, pp. Kozakiewicz, Kania, Rudny, Kołtun, Pałczyński, Strassner. Kom. rew.: pp. Gwóźdź, Obalt i Czapla.

Zebranie odbyło się w bardzo poważnym nastroju i zaprzeczyło twierdzeniu pewnych sfer, że na terenie Jarosławia robotnicy nie są dobrymi Polakami. Robotnicy natomiast poruszali wiele spraw obywatelskich i zawodowych, naświetlających dotychczasowe, poniżające traktowanie świata pracy przez pewne czynniki na terenie Jarosławia.

—o—

KRONIKA LEGIONOWO-PEOWIACKA

Legioniści Polscy z Czechosłowacji we Lwowie

Z początekiem lipca br. wyruszyła wycieczka legionistów polskich, zamieszkałych w Czechosłowacji, do Polski, by zwiedzić mogiły poległych synów, mężów i braci w Rafajłowej i Mołotkowie. Wycieczka zwiedziła również po drodze Kraków, a w drodze powrotnej ze Stanisławowa — Lwów.

6 bm. o godz. 15.05 przybyła wycieczka do Lwowa. Punktualnie o godz. 3 po poł. na peron dworca kolejowego przybył p. wojew. Biłyk, wicewojew. Chmielewski, płk. dypl. Polniaszek, starosta grodzki Porębalski, przedstawiciele Zarządu miasta, policji, delegacje Legionowych Kół Pułkowych, oraz delegacje Związku Legionistów w osobach płk. Sokołowski, płk. Zygmuntowicz, r. Bogdanowicz, pp. Wojtarowicz, Świetlik i in. Prócz oficjalnych delegacyj na peron przybyła orkiestra pracowników miejskich i tłumy publiczności, oczekujące niecierpliwie przybycia pociągu ze Stanisławowa, którym miała przyjechać wycieczka rodaków z za Olzy.

Pociąg nadjeżdża. Orkiestra gra Hymn Państwowy. Wycieczka wysiada. „Niech żyją nasi bracia z za Olzy!" — rzuca ktoś okrzyk. „Niech żyją!" — podchwytują okrzyk zebrani. Z pociągu wysiadają legioniści, wojew. Biłyk podchodzi i wśród okrzyków publiczności wita się z kierownikiem wycieczki, posłem Płonką, po czym wita przybyłych krótkim, serdecznym przemówieniem. Z kolei wita rodaków z Czechosłowacji płk. Sokołowski imieniem Zw. Legionistów we Lwowie, zaznaczając, że przemawia w zastępstwie prezesa Okręgu posła Wojciechowskiego, którego obowiązki służbowe odwołały do Warszawy. Trzecie przemówienie wygłosił p. radca Pakosz w imieniu nieobecnego p. prezydenta Ostrowskiego.

Ze strony przybyłej wycieczki przemówił poseł Płonka, dziękując w wzruszających słowach za tak serdeczne i gościnne przyjęcie, jakie ich spotyka na ziemiach polskich, w każdym niemal mieście. Przemówienia były raz po raz przerywane okrzykami zebranej publiczności, manifestującej swe braterskie uczucia dla rodaków z Czechosłowacji.

Niezwykle wzruszający był moment, gdy do mikrofonu podszedł siwy jak gołąb staruszek Gryń, górnik z Zagłębia, który przybył razem z wycieczką, by odwiedzić grób swego syna w Rafajłowej. Proste a tak szczere i z głębi serca płynące jego przemówienie wyciskało łzy z oczu zgromadzonym. Proste i twarde były jego słowa, jak twarde jest życie górnika a gorące, jak gorącą jest miłość ojczyzny u tych, których złośliwy los odciął kordonem granicznym. „Szczęśliwi jesteśmy — mówił staruszek — że synowie nasi na polskiej spoczęli ziemi, że nie leżą gdzieś w zapomnieniu, a spoczywają w mogiłach, taką opieką, przez Was bracia otoczonych". — Okrzykiem na cześć Rzeczpospolitej i hymnem I. Brygady zakończono powitanie na dworcu, po czym wycieczka udała się do Bursy Grunwaldzkiej na obiad.

Po południu wycieczka zwiedziła zabytki architektoniczne Lwowa. Wieczorem, o godzinie 20 gości podejmował Związek Legionistów.

W pięknie udekorowanej świetlicy, przy rozstawionych stołach, usiedli dawni towarzysze broni. Zgromadzonych gości powitał płk. Sokołowski imieniem Zarządu Okręgu Związku Legionistów Polskich, apelując do kolegów z Czechosłowacji, by wiarę w moc i potęgę Polski zanieśli swoim braciom z za Olzy na otuchę.

Koleżeński posiłek uświetniły produkcje chóru Zw. Leg. i niezrównane anegdoty legionowe, recytowane przez ob. Kiss-Orskiego. Płk. Zygmuntowicz opowiedział swoje wspomnienia wojenne z terenu Śląska.

Imieniem gości odpowiedział p. Kobiela, przemawiając na temat łączności Polaków w Czechosłowacji z Macierzą. Przeprowadził analogię między położeniem i rolą ludności polskiej na terenach poł.-wschodnich a między poł.-zachodnimi kresami. „Padłu sztuczne przegrody partyjne" — zakończył mówca; — koło sztandaru polskiego w Czechosłowacji skupili się wszyscy Polacy a przede wszystkim chłop i robotnik".

Serdeczna pogawędka i wspólne śpiewy piosenek legionowych i pieśni Polaków z za Olzy zakończyły kolację, po czym przy dźwiękach muzyki radiowej odbyła się wspólna zabawa z tańcami.

W następnym dniu goście zwiedzili cmentarz Obrońców Lwowa i zabytki miasta, a w południe po obiedzie pożegnalnym na dworcu kolejowym udali się do Cieszyna, żegnani przez swoich lwowskich kolegów.

—o—

KOMUNIKAT

Ob. Pałka Roman, asesor Parowozowni Głównej P. K. P. Nowy Sącz 2, poszukuje adresów Kolegów-Legionistów, b. żołnierzy z 7 i 8 komp. Baonu Uzup. Polskiego Korpusu Posiłkowego (Leg. Pol.) w Bolechowie, którzy w dniu 16. II. 1918 r. zostali internowani w obozach na Węgrzech.

—o—

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1·50 zł. — Półrocznie 3·— zł. — Rocznie 6·— zł. Cena ogłoszeń: cała strona 500 zł., pół strony 300 zł. ćwierć strony 150 zł., za wiersz milimetrowy jednej szpalty 25 gr., w tekście o 50% drożej.

Wydawca: Zarząd Okręgu Związku Legionistów Pol. we Lwowie. Redaguje: Komitet. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bogdanowicz

Drukarnia: „Związkowe Zakłady Graficzne", Spółdzielnia z odpow. udział., Lwów, ul. Piekarska 18 — Telefon Nr. 290-05.